

Hamulce rozwoju nauki: ocena czasopism.

W Pauzie („Naukowa ślepotą”, nr 435, 6.09.2018) pisałem o wpływie punktacji czasopism na rozwój nauki. Zespoły robocze w poszczególnych dyscyplinach pracowicie przypisują punkty czasopismom opierając się na bazach Web of Science (WoS) i Scopus z końca 2018 roku. Ma to swoje dobre strony, uwalniając nas od tyranii współczynników wpływu, które nie oddają znaczenia czasopism w wielu dyscyplinach. Stwarza to jednak kilka problemów nawet w dyscyplinach, które są dobrze reprezentowane w WoS czy Scopus, takich jak informatyka techniczna. Nowe czasopisma, np. „Nature Machine Intelligence” czy „IEEE Transactions on Biometrics, Behavior, and Identity Science” nie znalazły się wcale na liście czasopism punktowanych. Nie widać też mechanizmu szybkiego dodawania nowych czasopism do tej listy. Przypisanie im 20 punktów za obecność w jednej z tych dwóch baz danych oznacza, że nie ma sensu w nich publikować, bo znacznie łatwiej będzie dostać 100 a nawet 200 punktów publikując gdzie indziej.

To jest ważne zagadnienie: czy nadając punkty czasopismom będziemy zachęcać by pracować tylko w głównych, już rozwiniętych gałęziach nauki, czy może warto docenić nowe, obiecujące kierunki, w którym można jeszcze zostać pionierami? Jak napisał Robert Frost „Dwie drogi; pojechałem tą mniej uczęszczaną - Reszta wzięta się z tego, że to ją wybrałem.” Nowe czasopisma lub niszowe specjalności, np. informatyka w archeologii, architekturze czy komputerowej chirurgii, nabiorą wartości za 10 lat i wtedy się nimi zainteresujemy. Co z tego, że „Network neuroscience” czy „Cognitive Neurodynamics” to najlepsze czasopisma w bardzo ważnych specjalnościach, ale są zbyt nowe i na razie niszowe, więc punktów mają mało i kariery tam publikując nie zrobimy. Liczą się publikacje wysoko punktowane (na niektórych uczelniach są finansowe nagrody za takie publikacje), a więc stawiamy na petryfikację umacniając tradycję. Nagród Nobla za to co prawda nie będzie, ani do ligi europejskich uniwersytetów badawczych (LERU) się nie dostaniemy, ale w rankingach opartych na punktach trochę awansujemy.

W ten sposób marnujemy to, co najcenniejsze. Deklaracja San Francisco oceny nauki z 2012 roku (DORA) podkreśla, że wskaźniki bibliometryczne nie służą ocenie pojedynczych publikacji ani naukowców (słynny indeks wpływu IF został wprowadzony dla bibliotekarzy by ułatwić wybór czasopism do subskrypcji). W praktyce nie da się jednak tego uniknąć skoro to podstawa do oceny dyscyplin a nowatorskich osiągnięć nie potrafimy ocenić.

W informatyce technicznej wybrano ponad 2 200 czasopism z 27 700, ale informatyka obecna jest obecnie w każdej dyscyplinie, to jest dyscyplina niejako „horyzontalna”. Punkty pozwalają nam skorygować nieco oceny oparte o indeksy Web of Science i Scopus. Możemy do pewnego stopnia zachęcać do publikacji w czasopismach renomowanych wydawnictw, w których już publikuje wielu znakomitych uczonych, liczba cytowań szybko rośnie, a główną wadą jest młody wiek czasopisma lub nowa, jeszcze niezbyt popularna specjalność. Zespoły

do spraw oceny czasopism mogą obniżać lub podwyższać oceny nawet o dwa stopnie, a więc zamiast 20 dać do 70 punktów, pod warunkiem, że czasopismo jest na liście. Ile zespołów mechanicznie przeniosło indeksy bibliometryczne na punkty a ile kierowało się dokładniejszymi ocenami? Mając do oceny tysiące czasopism na pewno nie udało się uniknąć błędów.

Informatycy często nie mają czasu publikować w czasopismach. Jest wielu profesorów na najlepszych amerykańskich uczelniach jak i w zespołach badawczych takich firm jak Google, Microsoft, IBM, Amazon czy Facebook, którzy publikują głównie na konferencjach i raczej nie mogli u nas liczyć na awans. Informatykom pozwolono więc przypisać punkty konferencjom, co jest krokiem w dobrym kierunku. Niestety nie ma dobrej listy konferencji, więc wybrano jedyną dostępną listę rankingową, zwaną CORE, która powstała w oparciu o sugestie informatyków z uczelni Australijskich i Nowozelandzkich. Twórcy tej listy pytali też o rekomendację swoich znajomych (pracując w Singapurze sam wypełniałem ich ankietę). Najlepszym konferencjom nadano rangę A*, a pozostałym A, B, C i D. W rezultacie mamy to, co Australijczycy lubią najbardziej, czyli głównie konferencje z Azji, duże konferencje amerykańskie i niewiele europejskich. Ważne konferencje w niszowych specjalnościach nie znajdują się wysoko w rankingu bo nie mają poparcia.

Taka lista nie ma wiele wspólnego z obiektywną oceną, ale jest punktem wyjścia dla zespołu oceniającego. Możemy nieco zmienić ranking przypisując punkty do konferencji na tej liście, uzasadniając to publikacjami materiałów w renomowanych seriach wydawniczych, lub wysokimi cytowaniami wybranych prac z danej konferencji. Niestety nie wolno nam do tej listy dopisywać nowych konferencji, dlatego organizowane od dekad konferencje polskie zostaną pominięte i umrą śmiercią naturalną – bez punktów nie ma sensu brać w nich udziału. Podobny los spotka konferencje w niszowych dyscyplinach, których Australijczycy nie uprawiają więc nie znalazły się na liście.

Czy ten wielki wysiłek sprzyja innowacyjnej nauce? W USA polityką naukową sterują instytucje grantowe, aktywnie zachęcające do pracy nad nowymi specjalnościami, w których jest szansa na ważne odkrycia. Nawet nie próbujemy zidentyfikować takich specjalności. Obawiam się, że zamiast innowacji czeka nas petryfikacja.

Włodzisław Duch,
UMK Toruń